



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

Wewszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 50; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1. sgr. 20.

## DUMKA.

Hej, poleciał sokół siny  
W bujne stepy Ukrainy;  
Hej, poleciał poza morza  
Siny sokół Zaporoża.

Tęskne łzy leje dziewczyna,  
Ta najdroższa, ta jedyna:  
„Wróc mój luby, wróc mój miły  
Straszne mary mi się śniły.“

Nie posłuchał sokół siny  
Swej najdroższej, swej jedynej;  
I poleciał i nie wróci,—  
A dziewczynie wiek się smuci...

Próżne żale, łzy bez końca!  
Co zagasło, nie zaświeci.  
Nigdy sokół już do słońca,  
Kozak w step już nie poleci.

Konrad.

## KILKA WSPOMNIENIŃ O SZOPENIE

Z MOJEJ MŁODOŚCI

przez

Wielisława.

(Dalszy ciąg)

Pisząc o rodzinie Szopenów, trudno nie wspomnieć o nauczycielu muzyki Fryderyka i panien, tak z rodziną tą żyłym, że można go uważać, jakby za należącego do niej. Nauczycielem tym był, Czech rodem, Żywny, podobno dawny kapelmistrz austriacki.

Żywny był jedną z tych typowych postaci przeszłości, których dziś już nie ujrzyć. Olbrzymie rozmiary miał jego nos wcześniej ukameryzowany na kolor fioletowy wskutek nadmiernego zamięłowania tabaki i napoju gambrynusowego. Tabakę zażywał Żywny tak namiętnie, że nos, broda, białe krawaty, kamizelka, klapy od surduta, tabaczkowego koloru: wszystko było tabaką powalane. Zasypywała ona aż węgierskie buty, z którymi jak i z owym surdudem, zimą i latem nie rozstawał się maestro nigdy, a bardzo często i samą klawiaturę fortepianu. Ręka ucznia, lub uczennicy, której się Żywny dotknął przy lekcji, cuchnęła potem obrzydliwą bernardynką. Oprócz ogromnej tabakiery, mieszczącej pół funta proszku, z wizerunkiem Mozarta czy Haydna na wierzchu, i olbrzymiej chustki czerwonej, w kraty, nosił Żywny zawsze pogotowiu, niemających wymiarów, ołówki czworokanciasty; poprawiał nim napotykaną w nutach pomyłkę, a czasami po pal-

cach lub głowie karciał mniej pojętych lub nieważnych uczniów.

Poczeiwa ta mierność od czasu, kiedy ulubiony uczeń nabył już rozgłosu, zamawiana była na nauczyciela muzyki do najpierwszych domów w Warszawie. Widać jednak, że wirtuozi i wielcy kompozytorowie przy ładajakiej pomocy sami się właściwie kształcą i wychodzą na wielkich, bo nie podobna, aby Szopen artyzmem swój i wyrobienie się, nawet w samych początkach, nauczycielowi swemu mógł zawdzięczać. Nie wiem, czy oprócz Szopena miał jeszcze Żywny kim się pochwalić; w każdym razie nie przyniosłem jego maestryi zaszczytu ja, który miałem szczęście przez sześć lat być jego uczniem, a chociaż często brałem po palcach i czuprynie ołówkiem, tyle dziś umiem z muzyki, iż zaledwie gammę diatoniczną rozpoznać mogę.

Na skromnych uroczystościach imieninowych u Szopenów pamiętam Żywnego zawsze otaczanego oznakami wdzięczności i szacunku. Siedział zaraz przy gospođynie domu, brał potrawy przed go-spodarzem, a spożywał je, mimo braku zębów, z apetytem, który w nas, malcach, wiecznie do śmiechu skłonnych, sarkastyczną wesołość wywoływał.

Sam Fryderyk w czasie, z którego pochodzą obecne wspomnienia, niczem nie zapowiadał ulubieńca salonów europejskiej arystokracji, a zwłaszcza człowieka, w którym się tyle kobiet kochało. Miernego wzrostu, źle zbudowany, o piersi zapadłej, budził obawy, czy nie będzie miał, podobnie jak siostra Emilia, suchot. Czoło miał piękne, wyniosłe; oko, wyraziste, łagodne, pięknem było po wpatrzeniu się w nie, ale samo nie uderzało swą pięknoscią, nie błyszczała z niego geniuszu świetność. Włos był bujny, gęsty mocno, jak i u ojca, kędzierzawy, ciemny, z odcieniem cokolwiek rudawym. Duży nos nadawał rysom charakter wybitny, ale w całości swej rysy te nie mogły się nazwać pięknymi; mimo to, twarz Szopena sprawiała niezmiernie ujmujące wrażenie. Na zęby,

wcześniej nadwężone, młodzieniec cierpiał często i dotkliwie.

Szopen miał uderzająco małą i kształtną nogę i przesłizne białe, wypieszczone, o różowych palcach, ręce, które też często kładł, jakby z pewną ostentacją, na kolanach. W ruchach był żywy i prędki, w rozmowie dowcipny, nieco ucinkowy, dla siostr z wielką miłością, dla rodziców, choć już niby sławny, pełen jednakże tej czci, która nakazywała zawsze uważać się, mimo wyższości przez pracę i talent nabytej, za niższego i kolano i czoło zginała przed dawcami żywota.

Szopen był naturą do głębi artystyczną, i pewno, do czego się wziął, w temby się odznaczył. Tak, pamiętam, u mojej wujenki, pani Adolfowej Cichowskiej, przyjaciółki całego domu Szopenów—jednej z tych rzadkich pianistek, z którymi wielki romantyk fortepianowy lubiał grywać nawet godzinami całymi na cztery ręce — w jej albumie, bardzo udatne rysunki skreślone ręką Fryderyka. Były to drobiazgi, ale zawsze świadczyły one o łatwości, z jaką twórca ich i na tem polu mógłby być dojsz do wyrobienia się.

Musiał się ukochany Fryderyczek — (tem mała dla nas sympatycznym imieniem przez pamięć dla Skarbka przezwany) dobrze uczyć w szkole, bo pamiętam, iż często rozpowiadano o pochwałach, które odbierał; przytem zalecano mi go, jako przykład do naśladowania, pod każdym względem.

Ja-bo go już inaczej nie pamiętałem, tylko piąto czy szósto-klassistą w Lyceum Warszawskim, dosyć wcześniej na wiek swój poważnego i wyrosłego, w mundurku, przeciw przepisom często porozpinanym; jeszcze częściej zamysłonego, jakby rozartagnionego; zabaw w palanta i piłkę z kolegami prawie unikającego, widać już wcześniej pomysłami muzycznymi zajętego. Nieraz słyssałem go nucącego sobie na samotnych przechadzkach w ogródku.

Pierwszy raz słyssałem, jako dzieciak, grę Szopena, na imieninach jego ojca.

W saloniku profesora Mikołaja, już w oficynie pałacu dziś ordynatów Krasińskich,—bo mieszkanie gdzie się maestro rodził, w prawej oficynie pałaców Kazimirowskich, na drugim piętrze, po śmierci Emilii opuszczono—tłumno było i gwarno. Na pierwszym planie, w fotelach, z powagą, siedzieli główni znawcy: Elsner i Hoffmann, obaj profesorowie konserwatorium.

Koncert rodzinny rozpoczął się pod przewodnictwem Żywnego, który na uroczystość tak wielką, zawiązał świeżą białą chustkę wokoło szyi i włożył niezatabaczoną jeszcze kamizelkę. Za danym znakiem battutą zaimprovizowaną ze zwitka nut, odezwały się dźwięki muzyki zbiorowej, w której uczestniczyli: Molsdorf na wiolonczelli, Kaczkowski na skrzypcach—obaj artyści teatru—Ledoux artysta-amator, nacelnik w Kommissy Skarbu. Z kolei grał sam Fryderyk i jego siostry. Była to w poważnej muzyce epoka Beethovena, Haydna, Mozarta. Dostyli ich i sławy przyczepiali się Riesy, Gelinkowie, Steibelci. Mnie wówczas style muzyczne niewiele obchodziły; wolałem torty, wino i ciasta: pamiętam jednak sute oklaski dane Fryderykowi po wykonaniu jakiejś sztuki; w oklaskach tych rodziła się przyszła sława świata i chwała narodu. Pamiętam, że po odegraniu jakiegoś mazura czy oberka, może oryginalnej kompozycji lub improwizacji Fryderyka, Skarbek, naówczas już profesor uniwersytetu, zerwał się z krzesła i czule imiennika swego wyszciskał; Elsner winał takiego talentu; całe zgromadzenie, jakby jednym prądem porwane, i samego koncertanta i jego rodziców słowami gorącego uznania obsypywało.

W kilka dni później Szopen ślizgał się na łyżwach na zamarzonej strudze, tu, gdzie przed czterdziestu laty wymurowano łożysko dla źródła, spadającego z wyżyny przed Ś-tem Krzyżem w ulicę Oboźną. Właśnie i ja, pacholę wówczas siedmioośmioletnie, wymknąwszy się spod nadzoru domowego, sił moich na lodzie próbowałem. Tak tedy ślizgamy się obaj. Nagle, czy źle umocowana łyżwa, czy kamień sprawia, że Szopen pada na lód, a z głowy jego krew iść zaczyna. Patrzę ze strachem: on blednie, traci siły; machinalnie podaje mu garstkę śniegu....

Szczęściem, patrzył na całe wydarzenie p. Kozłowski, ojciec słynnej dziś z filantropii, zacnej pani Rapackiej, bogaty właściciel domów przy ulicy Oboźnej, z powodu niemocy w nogach i niemożności wychodzenia z domu, zabawiający się wyglądem z okna. Krzyknął on na swoich; ci pośpieszyli na pomoc. W momencie zjawili się na sadzawce: brat pana Kozłowskiego, Tomasz, i stróże, którzy skaleczonego do domu rodzicielskiego odprowadzili, prawie że zaniesli. Więcej atoli było strachu niż bólu,—bo chociaż zaraz przywołano chirurga, doktora Szwenckiego—Fryderyk nazajutrz już poszedł do szkoły, jak zwykle.

Z następnego lata zapamiętałem wypadek dość zajmujący.

W gmachach uniwersyteckich mieszkało kilkaset osób. Trudno było znać wszystkich; dlatego całkiem powiedzieć nie umiem, kto była panienska, która w owym czasie żywo Szopena zajęła. Była to pewno jego najpierwsza miłość, to, co się sercu miłością wydaje, a często tylko przelotną prędko, przemijającą bywa skłonnością. Kto wie jednak, czy wspomnienia uczuć, które obudziła owa miłość z „Botaniki”—nie towarzyszyły Szopenowi do zgonu. Czas pozacierał mi w pamięci wiele śladów przeszłości i dziś nawet rysów tej panienski przypomnieć sobie nie mogę. Uczucie dwojga młodych szło rażno wesołą drogą młodości bezwiednej, jasnej, szczęśliwej. W początku pięknego lata, wieczorem, kiedy biegałem po ogrodzie, w akacyjowej alei „Botaniki“, zjawiało się kilka młodych panienek, najczęściej pod dozorem kogoś ze starszych, ale i bez dozoru. Za nimi wkrótce przybywał i Szopen. Zasiadali na ławce. Wyobraźnie przenosiły się prędko w cudowną krainę marzeń, czarów serdecznych i złudzeń. Fryderykowi, jego wyraziste, ciemno-piwe oczy zapalały się, jakimś niezwykłym ogniem. Słyssałem głośne rozmowy i cichsze westchnienia, to znowu jakby sprzeczki, przekomarzenia się, żarciki i śmiechy.

Ja biegałem po ogrodzie i spotykałem się często z tą gromadką, w której wówczas ani się domyślałem kontrabandzistów miłości. Widziałem Fryderyka chodzącego samnasam z jedną panienką. Pokazywałem mu dziwaczne robaki i chrabąszcze, wypytując o to, co mnie w nich uderzało. Paniencie ofiarowywałem kwiaty świeżo zerwane. Fryderyk uśmiechał się z dobrocią i obdarzał mnie karmelkami, wydobywanymi z kieszeni.

Pewnego dnia w „Botanice“ zjawił się poważny profesor, ojciec Fryderyka, a poznawszy mnie, zaczął badać, zwykłym swoim, stanowczym tonem mowy, dziwnie przez nos akcentując trudne dla cudzoziemca brzmienia *q, e*.

Powiedz mi — mówi do mnie—kochane dziecko, moje, czy niema tu Fryderyka, mojego syna?

Z miny poznałem, że staremu chodzi o wyłajanie syna: dyplomatycznie więc skłamałem:—Nie, nie widziałem pana Fryderyka.

— Ale on tu bywa? — zapytał ojciec, surowo mi patrząc w oczy.

— Nie widziałem—odrzekłem krótko, a dla ukrycia mego pomieszenia, bo czułem jak gorąco wstyd, za popełnione kłamstwo, twarz ma oblewa, usunąłem się i począłem bawić się piłką.

Ojciec Fryderyka postać chwilę, pomruczał, stuknął laską o ziemię i odszedł. Gdy już pewny byłem, że nie wróci, czempredziej pobiegłem do Szopena, aby zawiadomić go o tem, co zaszło.

Siedział z pannami na ławce, w alei akacyjowej. Gdy mu powiedział, że ojciec pytał się o niego—drgnął, zarumienił się i zwróciwszy się do mnie.

—Dobrześ zrobił, Geniu—rzekł, głaszcząc mnie po twarzy, i dobywając garść karmelków, powtórzył:—dobrześ zrobił.

Przyjmując je, byłem pomieszany, jakby odbieraniem Judaszowych srebrników. Fryderyk pochwalił moje kłamstwo! Pierwszy raz mi to zdarzało się w życiu.

Na tej ławce aż do r. 1836 widać było wiersze skreślone ołówkiem; czy ręką Fryderyka, tego nie wiem, ale pamiętam, że raz zszedłem go jak wyrzynał scyzorykiem dwa serca otoczone cierniem.

A może i on sam czasami bywał także i owym lawkowym poetą....

(Dalszy ciąg nastąpi).

## BEZWIEDNA MIŁOŚĆ

N O W E L L A.

(Dalszy ciąg).

— Prawda, że on gonił za milionami, ale panna Helena więcej warta nad miliony.

— Nie dla tych jednak, którzy za nimi gonią.

— Cóż z tego, — dodał złośliwie Józef, — że dostał kilka harbuzów od milionowych dziedziczek; teraz, poznaawszy kuzynkę, mógł zmienić zdanie.

— To mi wszystko jedno, bo za niego nie pójdę. Józef rozpromieniał radością i tylko dla ukrycia swego uszczęśliwienia pytał dalej:

— A to czemu?

— Bo mi się nie podoba.

— Przed chwilą mówiła kuzynka, że bardzo ładny.

— I teraz to powtarzam; ale dla mnie piękność nie wystarcza: przedewszystkiem lubię wykształcenie, a tego pan Zdzisław nie posiada.

Groźne chmury pokryły czoło Józefa i zapytał z pewnym rodzajem niechęci:

— Czy to ma być jedyną wartością człowieka?

— Nie jedyną, ale ja nie potrafiłabym się zachęcać w człowieku pozbawionym wyższego wykształcenia.

—To byłaby miłość rozumu, nie osoby: widocznie nie umiesz kochać.

— Owszem, — odrzekła zadumana Hela, — zdaje mi się, że potrafiłabym kochać gorąco i na całe życie, ale tego tylko, kto mi podobał się prawdziwie.

— Chciałbym poznać ten ósmy cud świata, ale zdaje mi się, że takiego niema chyba na świecie.

Tu Józef zaśmiał się przymuszonym, złośliwym śmiechem. Hela pomyślała chwilę, potem obróciła się nagle do niego i powiedziała żywo:

— Wiesz! gdyby Waclaw nie był moim krewnym i mieszkał tu w kraju, kochałabym się w nim szalenie.

Hela mówiła to z ogniem; oczy jej błyszczały, usta uśmiechały się słodko, ale nie zdawała sobie sprawy, że naprawdę kocha Waclawa nad życie. Mając lat dwadzieścia kilka, była niewinniejszą od niejednej pensyonarki. Wielkie swe przywiązanie do Waclawa tłómaczyła blizkiem pokrewieństwem, zgodnością zdań i upodobań. Zresztą, mając wiele zajęcia, nie zwykła była badać swego serca. Kochała go i to jej wystarczało; a dlaczego? jak? — nad tem nie zastanawiała się wcale.

Ale pan Józef, doskonały praktyk w uczuciach tego rodzaju, miał jakby objawienie w tej chwili. Słodko marzące oczy Heli, zagłębionej w swych myślach i nieuważającej na niego, mówiły mu wyraźnie, co się dzieje w jej sercu. Nadzieje jego pierzchy odrazu, jak pianka wodna za podmuchem wiatru, bo czuł, że jeśli po dziewięciu latach nieobecności, Waclaw tak bardzo jest kochanym, to nikt już nigdy nie zastąpi go w jej sercu.

W altanie zapanowało milczenie. Helena, zapatrzona w szary zmrok wieczora, myślała o nieobecnym. Józef chodził gwałtownie w tę i tamtą stronę, a twarz jego fałdowała się dziwnymi zmarszczkami, wyrażając coraz-to inne uczucie. Widoczną była jakaś walka gwałtowna, którą złe i dobre skłonności w nim prowadziły. Józef był lekkomyślnym, leniwym, ale złym nie był wcale, miewał nawet czasem szlachetne popędy. Zrobił jednak daleko więcej złego niż dobrego na świecie, ale nie ze złej intencji, tylko przez lenistwo, głupotę lub zawadyactwo; przewrotnym nie

był. Jeśli mu kto powiedział, lub jeśli on sam spostrzegł, że komu wyrządził krzywdę, rad ją był naprawić, ale fałszywy wstyd i lenistwo najczęściej nie dopuszczały tego.

Każde jednak gorętsze uczucie uszlachetnia człowieka i niedołęznego robi na chwilę bohaterem.

Józef naprawdę kochał Helę, i miłość ta sprawiła, że w tej chwili lepsza jego natura zwyciężyła i dała mu siłę postanowienia, do której w innym razie nie byłby zdolnym. Pomieszany, drżący, przystąpił do kuzynki i przemówił niesmiało:

— Mówiłaś przed chwilą, że potrafiłabyś kochać szalenie, zatem wyrozumiała powinnaś sądzić tych, którzy przewinili z miłości.

— Miłość prawdziwa jest czystą, nie zna winy, — przerwała Helena.

— Oh! — ciągnął dalej z pokorną goryczą, — ja mówię o miłości pospolitych ludzi. — Powiedz mi, Helo, — mówił coraz prędzej, jakby się lękał aby mu słowa nie ugrzęzły w gardle. — jakbyś osądziła człowieka, któremu przypadkiem wpadł w rękę list do jego ukochanej, zawierający oświadczenie miłosne od kogoś, kogo on najbardziej się lękał; gdyby ten człowiek w chwili gniewu zniszczył ten list, aby nie doszedł rąk właścicielki? Co powiedziałabyś o takim człowieku?

W głosie jego była jakaś obawa, jakby pokorna prośba. Innym razem byłby może zdziwił Helę ton jego mowy. Ale dzisiaj była zatopiona w miłych wspomnieniach i mniej jeszcze niż zwykle zwracała uwagi na swego kuzyna, który ją śmiertelnie nudził: nie mogła poznać dziwnego jego usposobienie i niezwykłego tonu głosu. To też odpowiedziała surcwo, niemal okrutnie:

— Powiedziałabym, że podły i nigdy nie dotknęłabym jego ręki.

Nie przywiązując wagi do tej rozmowy, Hela myślała w duchu: Żeby też poszedł sobie i przestał mnie nudzić rozmową niemającą żadnego interesu! — Zmrok wieczorny był prawdziwym dobrodziejstwem dla pana Józefa, ale nawet przy blasku księżycy, gdyby Hela uważniej spojrziała na swego kuzyna, przeleklełaby się napewno. Stał on błądy, z szeroko rozwartymi oczyma, jakby skamieniały; nagle fala krwi przepłynęła mu czoło i twarz całą, przechylił głowę, jak winowajca, i opuścił altanę. Minał ogród, szedł potem przed siebie, coraz prędzej, jakby chciał uciec od tego straszego wyroku, to bladł, to czerwieniał naprzemian, drżał całym ciałem, a przez zacisnięte zęby powtarzał co chwila: podły! ja podły! podły! Jedyny Bóg, którego czcił, honor jego, był strącony w błoto i zdeptany. Gdyby mu kto inny i w innym wypadku powiedział, że jest podły, rozdarłby go na sztuki. A teraz usłyszał ten straszny wyraz i nie może bronić się, bo zasłużył nań. Po raz pierwszy cierpiał moralnie, a cierpienie jego było tak straszne, że stracił zdolność myślenia i poczucia chwili obecnej.

Jak obłąkany, pomimo zwiększającej się ciemności, wbiegł do lasu, pędząc bezwiednie, coraz dalej, aż gałązka, wilgotna rosą wieczorną, uderzyła go w czoło, i chłodne krople, spływające po twarzy, powróciły mu przytomność. Stał i obejrzał się wkoło. Nogi chwiały się pod nim; oparł się o drzewo i zagłębił myślą w przeszłość. Było to już dawno, lat temu cztery. W czasie swego letniego pobytu w Zapolu jechał z miasteczka pałac cygaro, a w kieszeni miał pełno listów, między innymi największy do Heli od Wacia. Ten list niepokoił go bardzo. Miasteczko odległe było o kilkanaście wiorst, cygaro dopaliło się prędko, opanowała go jakaś nuda, a niepocziwa ciekawość coraz bardziej go dręczyła. Gdyby tak bliżej było do Zapola, unikałby tego nieszcześcia. Ale droga była zła, w niektórych miejscach trzeba było jechać stępą, myśl jałowa powracała ciągle do tego listu. O czym on pisze tak często i tak długo? gdy do innych, nawet do rodziców, ledwie parę słów na rok przysłał? Wyjmował ten list ciągle z kieszeni, oglądał coraz dłużej, chował napowrót i niewiedzieć jakim sposobem rozdarła się koperta; doprawdy on jej nierozdzierał, chyba szatan oddał mu tę fatalną przysługę. Przestraszony, zachmurzony, schował list do kieszeni, my-

śląc, jak to wytłómaczy Heli. Jechał zły i niekontent z całego świata, lajał woźnicę za każde potknięcie się koła. Droga trwała nieznośnie długo; myśl zaczęła się wypogadzać. A gdyby tak skorzystać z wypadku i przeczytać? co w tem byłoby złego? List na wartości nie straci, a ciekawość tak pali! Przecie Wacio jest jego rodzonym bratem, a Heli tylko ciotecznym, nie może tu być sekretu dla niego, zresztą... choćby i był, to on jest starszym bratem i może wiedzieć: co się po tej niedowarzonej głowie płacze?

Wziął prędko list, wyjął z koperty i czytał:

„Droga moja Helo!

„Nie pisałem długo, bo przyłączyłem się do kompanii handlowej udającej się z Kalkuty do Chin; należę do niej nietylko w charakterze geografów, ale zarazem i kupca. Nie chciałem cieszyć się zawczasem. Poszczęściło mi się; mam zapewniony byt do śmierci dla siebie i dla moich drogiej starych rodziców — wprawdzie byt skromny, bardzo skromny, do jakiego ty może nie jesteś przyzwyczajoną. Ale gdybyś go chciała podzielić ze mną, rzuciłbym świetne nadzieje z bogacenia się i powrócił natychmiast do kraju, pracować między swymi i dla swoich. W przeciwnym razie nazawsze tu pozostanę. Helo! los mój w twojem ręku! Kocham cię, jak szalenie!”

— Prawda, że szalenie! — wykrzyknął gniewnie pan Józef. — nie czytał już dalej, ale z passy podarł list w drobne kawałki, a wiatr śnieżne płatki rozniósł po polu. Gdy znikły mu zupełnie z oczu, dopiero zaczął jaśniej pojmować swój postępek. Niedosć, że naruszył rzecz świętą, pieczęć cudzą, ale w dodatku sam list zniszczył. Jak wytłómaczyć się z tego? Najlepiej nie przyznawać się wcale. O! tak za nic w świecie nie powie tego Heli: nazawsze straciłby u niej łaski, i tak niewielkie. Ależ to będzie krzywda dla Waclawa! Przecie to brat jego, który mu nigdy nie uchybił, a nieraz dawał dowody życzliwości! No, to doniesie mu, że zgubił list jego do Heli: niechaj napisze drugi; niewielka rzecz, ale niech jej nie wspomina, że tamten przepadł z jego winy, bo boi się o względy Heli, o które bardzo stoi. Napisać taki drugi list, to niewielka rzecz; zresztą niewiadomo, czy Hela przyjąłaby go, a nadzieja zawsze miła, i nic nie szkodzi, że później odbierze odpowiedź. Uspokojony tym argumentem, nie Heli nie wspominał o liście i jego losie. Napisał do Waclawa i będzie miała drugi. Nie mógł jednak zebrać się na to pisanie; zwykle jego lenistwo, drażliwa kwestya sekretu przed Helą, przytem jakaś niewyraźna uciecha, że oddalił od niej Waclawa: wszystko to odwlekło wykonanie zamiaru. Czekał jakiej stosownej chwili, i tak przeszył cztery lata. W ciągu tego czasu miał Józef nieraz chwile gorzkie, bo chociaż nie zwykł był roztrząsać swych postępków, wrodzony jednak instynkt i zasady wpajane od dzieciństwa, nieraz mu wyrzucały zły czyn, i pocieszał się tylko tem, że kiedyś napisze do Waclawa.

Zresztą nie sądził się zbyt surowo. Teraz dopiero uczuł całą niecień swego postępkę, gdy mu go nazwano po imieniu. On, który dumnie twierdził, że postępuje wedle prawideł honoru i nigdy żadnej nie popełnił nieuczciwości, czuł teraz, że to fałsz. Bo też źle postąpił. Złamał szczęście dwojga ludzi i zasmucił starych rodziców, którzy tak pragną powrotu Waclawa. I dlaczego to zrobił? przez zazdrość. Zresztą sam już nie wiedział, jak to się stało. Gdyby chociaż naprawić! ale jak? Trzebaby się przyznać do wszystkiego. Nie! Oh za nic w świecie nie chce, aby Hela o tem wiedziała. Powiedziałaby, że podły, i nie dotknęłaby nigdy jego ręki. To okropne! Czuł, że nie zniósłby jej pogardy i obwiesiłby się na pierwszej lepszej gałęzi. I tak pewno skończy na tem, bo cóż mu innego pozostaje?

\* Usłyszał że jest podły, i nie może tego słowa zmyć krwią tego, kto je wyrzekł, bo to powiedziała kobieta, i to ta, którą on kocha niezmiernie. Wprawdzie nie wiedziała kogo tak nazywa, ale on niemniej musi to wziąć do siebie, bo na to zasłużył. I piętno hańby nosić będzie na całe życie... Nie, lepiej umrzeć! Tak, on umrze... Ale umierać z taką plamą, to także okropnie. Strasznie cierpiał w tej chwili; przepaść nicości otwierała się przed nim; nie wierzył w nic; zdawało mu się, że

ludzie rozsądni nie powinni mieć przesądów, tak bowiem nazywał religią. Do ziemi rodzinnej nie miał wielkiego przywiązania, rodzina nie obchodziła go zbyt, i nic dla niej dotychczas nie uczynił. Nauki nie potrzebował, pracować nie umiał i nie lubiał. Cenił tylko jeden honor, a ten już splamił. Cóż mu więcej pozostawało? Nie umiał rozumować, ale czuł, że nie pozostaje mu nic! nic!...

Straszne słowo, równie dla mędrców, jak i dla prostaczków. Nic!... Nic!... Zdarzają się czasem straszne sny, kiedy zdaje się nam, że jakaś fatalna siła porwała nas i zawiesiła w jakiejś przestrzeni, w której oprócz ciemności nic nie widzimy; napróżno rzuca się w powietrze i dobywamy sił ostatka, aby dobić się do jakiegoś przedmiotu: czaru przełamania nie możemy; dopiero przebudzenie się jak prawdziwe dobrodziejstwo, wybawia nas z udręczenia. Właśnie uczucia Józefa w tej chwili podobne były do snu takiego, tylko, że on to snił na jawie. Stał tak bez myśli żadnej, Bóg wie, jak długo, pogrążony w ciemności moralnej i fizycznej.

Nagle zdało mu się, że promyk jakiś padł mu na oczy, i jakby cudem w pamięci jego stanęła chwila, jedna z lat jego dziecińczych, ta właśnie, w której klękał przy matce do codziennej modlitwy. Zdało mu się, że naprawdę był jeszcze dzieckiem bez winy; kolana zgięły się bezwiednie i dawno zapomniane słowa modlitwy powtarzał jakby w natchnieniu. Zmówił „Ojcze nasz“, „Zdrowaś“ i „Wierzę“ modlitwę za zdrowie rodziców i kończył jak dawniej: „Boże Wszechmogący, daj, abym spełniał Twe przykazania, i był zawsze uczciwym człowiekiem“.

Chwilę pozostał jakby w extazie, potem powrócił do rzeczywistości, przypomniał sobie swe położenie i gorzko zapłakał. Łzy płynęły obficie i orzeźwiły mu duszę, jak rosa wieczorna kwiat zwarzony skwarnym wiatrem.

— Napisać do Waclawa, — pomyślał, — wyświadczam mu się ze wszystkiego; on pocziwy: przebaczy i zapomni. Zaknę go, aby nigdy całej prawdy nie powiedział Heli: nie zniósłbym jej pogardy. O tak! wszyscy mogą wiedzieć, byle nie ona! Waclawa znam: zrobi o co go poproszę.

Wrócił do mieszkania i długo w noc pisał do brata. Potem położył się i zasnął, jak człowiek niemocą na łożu rzucony.

Nazajutrz rano państwo Zapolscy z Heleną dawno już jedli śniadanie, a pan Józef spał jeszcze. Pan Zapolski, miły staruszek o sumiastym białym wąsie, siedział wygodnie w fotelu. Popijając herbatę i paląc fajkę, przeglądał gazetę; nagle odrzucił ją i rzekł:

— Coś panu Józefowi sen się udał.

— Cóż ma lepszego do roboty? — odrzekła pani Zapolska, poważna dama o surowym wyrazie twarzy; czynną była niezmiernie całe życie, zatem nie sympatyzowała z panem Józefem. — To też — dodała, — nikt nie poniesie wielkiej straty, jeżeli pośpi dłużej.

— Może nie wie, że to już śniadanie, — tłómaczyła Helena, która w oczy lubiała czasem pożartować i wypowiedzieć prawdę, ale nieobecnych zawsze bronila.

Wkrótce przyszedł pan Józef, błądy, zmieniony, jakby mu kilka lat wieku przybyło. Nie zeszpeciło go to jednak. Owszem uszlachetnienie duszy, dokonane przez wczorajsze cierpienie, odbiło się w powierzchowności. Dawnej pretensjonalności, próżności, pewnego rodzaju bezwstydu, nie było ani śladu, twarz jego wyrażała jakieś uspokojenie, a zachowanie się było poważne, z odcieniem pokory.

To też od pierwszej chwili wszyscy sympatycznie się usposobili.

Hela uściśnęła mu tak serdecznie rękę, jak nigdy jeszcze, i spytała z troskliwością:

— Wyglądasz, kuzynku, jakbyś był chorym; co ci jest?

Pan Zapolski, ze zwykłą swą dobrocią, uśmiechnął się i powiedział:

— Pan Józef coś nam bardzo wyblakował w Zapolu, a my pragnęlibyśmy, aby ci tu dobrze było.

Nawet pani Zapolska łaskawiej spojrziała na

ratanka, pocałowała go w głowę, gdy jej oddawał dzień dobry i spytała: czy nie potrzebuje jakich leków?

— Dziękuję serdecznie wujowstwu dobrodziejstwu i miłej kuzynce za troskliwość. W nocy cierpiałem trochę, ale teraz jestem już zdrow zupełnie.

— Ale cóż ci to było? — pytano chórem.

— Bagatela, lekki ból głowy; niema o czem mówić.

Później, zwracając się do pana Zapolskiego, jakby chciał przerwać rozmowę, spytał:

— Czy mogę prosić wuja dobrodzieja o konie na dzisiaj.

— Dobrze, ale gdzie to wybierasz się jechać?

— Mam trochę interesu do miasteczka; potrzebuję wyprawić ważny list, — dodał, rumieniąc się lekko.

Zresztą pora już wracać do siebie. Chciałbym wyruszyć na wieczorny pociąg.

— Cóż cię tak pędzi? — zdziwił się pan Zapolski, — miałeś zabawić całe lato; aż tu nagle, po paru tygodniach, chcesz nam uciec.

Nie z tego nie będzie, mój mości dobrodzieju. Do miasteczka, na pocztę, zresztą, gdzie chcesz, koni dam, ale kuferek aresztuję.

— Nie chcę państwa nudzić moją nieciekawą figurą.

— To już nam zostaw sąd o tem, a teraz wracać do Wilna ja nie pozwalam i — basta.

Zwrócił się do żony:

— Lorciu! słyszysz, co tu pan Józef baje: chce nam uciekać.

— A to co za nowy koncept! — zawołała pani Zapolska, rozczulona bładością i smutkiem Józefa. — Właśnie kiedyś niezdrów, powinienes jaknajdłużej siedzieć na wsi, aby wyleczyć się świeżym powietrzem.

— Wujowstwo zbyt łaskawi, — ale — dodał, patrząc na Helę;

— Nie śmiem.

Hela nigdy go nie zapraszała; teraz jakaś litość ją zjęła: rzekła więc z dobrocią niewysłowioną:

— Daj się uprosić, kuzynku; będziemy cię leczyć.

— Jeśli państwo tak łaskawi, to zostanę — i dodał rozweselony:

— Dla mnie niema większej przyjemności, nad pobyt w Zapolu. Ale o konie prosić będę wuja dobrodzieja, bo muszę koniecznie sam być na poczcie.

— To i ja będę mieć prośbę do kuzynka, — odezwała się Hela.

— Jestem na usługi.

— Napisałam do Wacia: będziesz łaskaw wyprawić list za rewersem, aby nie zginął. Mam na sumieniu, że tak dawno nie pisałam do niego, przytem wujenka w ostatnim liście prosiła mnie o to.

— Oho! pewno morały, że tak dawno nie pisał, — zaśmiał się pan Zapolski, — bo panna Helena, to kaznodzieja.

Józef, usłyszawszy, że Hela napisała do Wacława, uczył w pierwszej chwili niepoczciwą zazdrość, dziwił się także tej jednomyślności z Helą; po chwili jednak był rad z tego, bo miał nadzieję, że Wacław pod miłym wrażeniem listu Heleny, pobłażliwiej jego własny list, a co ważniejsza, wyjawiony w nim postępek, osądzi.

(Dokończenie nastąpi)

## LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Coppet. — Pani Necker i pani Staël. — Neckerowie. — Salon pani Necker. — Pan hr. d'Haussonville. — Młodość. — Gibbon. — Zamążpójście. — Stosunki. — Literaci. — Buffon. Thomas. — Dziennik p. Necker. — Pani Staël. — Rodzina. — Pożycie małżeńskie. — Śmierć. — Matka w córce. — Zamek w Coppet. — Nowa powieść Zolli. — „Rose Rosier“ pani H. Gréville. — Hr. Wodzińskiego „Przećiwłowski“. — Polskie żywioły w literaturze francuskiej. — Francuzi i cudzoziemcy. — Alfons i Ernest Daudetowie. — Ernesta „Lespervertis“.

Wielu z ziomek naszych, wędrujących po świecie, niedojeżdżając do Genewy, zwróciło pe-

wnie uwagę na wstawiony pobyt p. Staël zamczek w Coppet, który z okna wagonu miga wśród zieleni drzew starych i równie jak Ferney, nie odpowiada wyobrażeniu, jakie o niem z tradycji mieć można. Mały ten i niepoczesny Coppet, dziś tak cichy i zapomniany — mieścił w sobie niegdyś dwie znakomite kobiety, które w dziejach ducha i obyczaju Francji niepospolitą odegrały rolę: panią Necker i córkę jej p. Staël. Z tych dwóch ostatnia jest jeszcze stosunkowo lepiej znaną, i z pism swoich, i z tego przesładowania, jakim ją Napoleon zaszczycił. O matce, pani Necker, która, równie jak ojciec, miała wielki udział w wykształceniu córki, a w spuściźnie po sobie dała jej swój temperament i ducha, bardzo dotąd wiedzieliśmy niewiele. Zaśmiewał ją znaczeniem swem i rolą, jaką odegrał w ostatnich latach przedrewolucyjnych Francji, mąż, który, choć może niewłaściwie oceniony, występuje jednak na kartach historii jako jeden z działaczy przewrotu. Pani Necker przy nim niknie, poczęści dobrowolnie, jakkolwiek salon jej i ona sama również ważne zajmowali stanowisko w tej epoce wszechświatowego dramatu.

Blizsze i lepsze poznanie zawdzięczamy świeżo ogłoszonej biografii vicehrabiego d'Haussonville, opartej na poszukiwaniach w archiwach Coppet (Le Salon de Madame Necker, d'après les documents tirés des archives de Coppet. Paris. Calmann Lévy. 8-o Tom I, 360, T. II, 303 pp.) Sława córki przyczyniła się do zatarcia pamięci matki, która, choć nie pisała sama, a przynajmniej mniej się dała poznać jako literatka, przez całe jednak życie zajmowała się gorąco literaturą i była w stosunkach nieprzerwanych z całym tym światem literackim, który nadał cechę swą ostatniej ćwierci XVIII wieku.

Panna Zuzanna Curchod, była córką pastora i odebrała tak staranne wychowanie, że, mając lat szesnaście, listy pisywała polacinnie, co nie przeszkadzało jej, jak p. d'Haussonville sam przyznaje, być trochę zalotną, a nawet wielce żądną hołdów i lubiącą zwracać głowy.

Pierwszą ofiarą panny pastorowny padł sławny później historyk Gibbon, który miał się nawet zenić z nią, ale ostygł potem nagle i okazał się niewdzięcznym. Poznanie z p. Necker, naówczas bankierem i finansistą, u pani Vermeux, której towarzyszką była panna Curchod, wcale niespodziany wydało owoc, bo Necker, mający się zenić z wdową, rozmiłował się w jej przyjaciółce, zyskał jej serce i panna Zuzanna świetną zrobiła partya.

Miłość jej dla Neckera, która trwała do zgonu, połączoną była z uwielbieniem i czcią dla jego umysłu.

Przeniesienie się do Paryża kobiety żywego umysłu, pięknej powierzchowności, żony zamożnego finansisty, skupiło zaraz koło niej cały świat ówczesny encyklopedyczno-filozoficzno-literacki. Wszystkie gwiazdy jego znajdują się w salonie p. Necker, która ma w nich swych protegowanych, przyjaciół, wielbicieli i gości obiadowych. Necker, milczący, zajęty swemi pracami, gra tu rolę zupełnie bierną. Oprócz literatów i uczonych, część świata arystokratycznego lub eleganckiego styka się także dosyć przyjaźnie z p. Necker. Pani Geoffrin, marszałkowa de Luxembourg, księżna Lauzun, margrabina du Deffand, margrabina de la Ferté-Imbault, hrabina d'Houdetaud, należą do jej koła.

Wszystkich tych, dziś spłowiałych postaci, znajdujemy tu wizerunki dosyć żywe i korespondencye.

Oprócz nich sławny a nudny egoista Marmonet, ksiądz Morellet, Grimm, Diderot, d'Alembert, odświeżony w pamięci niedawno wydana, zajmująca korespondencyą swą ks. Galiani, Bernardin de St. Pierre, Dorat, schodzą się wszyscy w tym salonie p. Necker, która ich zachwyca i — pomaga im często serdeczniej, niżby zasługiwali.

Do rzędu najbliższych przyjaciół i wiernych do zgonu czcicieli liczy się Buffon, występujący tu w dosyć nowej dla nas barwie. Pani Necker w ostatnich chwilach jego, u łoża konającego, dała dowód przyjaźni, którą znakomity naturalista odplacał

tak gorąco. W testamencie swym Buffon zostawił tej wiernej do zgonu przyjaciółce pamiętkę, która dotąd się w Coppet zachowywała.

W liczbie stałych wielbicieli wchodzi także, dziś zapomniany chwaleca, retor akademicki, Thomas, który ze strony nowej i lepszej się nam przedstawia w ułamkach korespondencyi przytoczonej przez autora.

Chociaż protestantka i otoczona Encyklopedystami, pani Necker do końca życia zachowała, jak widać z jej dzienników i notat, głęboką wiarę i pewne nawet usposobienie mistyczne. Na dowód przytoczymy następnym ułamek:

„Bóg mi dał dziennie dwadzieścia cztery godziny do rozporządzenia. Oto jest dziennik, który ma być prawidłem użytkowania ich; bo jedno mam na celu: zyskać łaskę w oczach najdoskonalszej z istot i spełnić przez nią na mnie włożone obowiązki. Bóg będzie celem i dźwignią wszystkich moich czynności, myślą przewodnią, według której chcę je kierować; ale on nie wymaga ode mnie zbyt długich kontemplacji. Jestem sługą wierną, nieustannie zajęta sprawami pana mojego, ale nie śmiem nadto z nim przeciągać rozmowy, bo czuję to, że on zbyt doskonałością swą stoi wyśoko nade mną, abym go paplaniną moją nie nużyła. Wieczorem więc tylko poświęcę dziesięć minut na błaganie go o opiekę, a z rana dwadzieścia, aby mu zdać sprawę z użycia dnia poprzedzającego, na prośbę o pomoc i odnowienie postanowień, abym przez dzień cały miała je w myśli przytoczne“.

Dalej następuje rozkład godzin dni powszednich. Przywiązanie do męża w równie gorący sposób odbija się w tych notatkach, nie słabnąc nigdy, owszem rosnąc w miarę, jak Necker narażony jest na pociski losu.

Jedyną córką z tego małżeństwa była Germana, późniejsza pani de Staël-Holstein. Ojciec i matka otaczają kolebkę jej najczulszemi staraniami, ale przywiązanie ojca do córki, i wzajemnie, wybitniejsze jest niż miłość jej dla matki. Dziewczę rozwija się wcześniej i bujno.

Do cierpień pani Necker tajonych przybywa pewien chłód ze strony własnego dziecięcia, zwracającego się sercem i umysłem ku ojcu. P. d'Haussonville dowodzi wszakże, iż tej rozterki z panią Necker, o której chodziły wieści, nigdy w istocie nie było. Chłód pewien jest jednak bardzo wybitny. Panna Germana, o której rękę starał się zruinowany książę Jerzy-August Meklemburski, brat panującego, wychodzi za barona szwedzkiego, ówczesnego posła przy dworze francuzkim. Zdaje się to być małżeństwo całkiem konwencyonalne, w którym uczucie nie miało żadnego udziału.

Znaczniejszą część drugiego tomu poświęcił autor samemu p. Neckerowi i zawodowi jego publicznemu, jako kontrolera, jako ministra i jako pisarza. Wgnana z Francji i w części przez rewolucyą zruinowana rodzina przenosi się do smutnego Coppet, gdzie pani Necker umiera.

Mało znanem jest poszanowanie i przywiązanie Neckerów do Ludwika XVI i królewskiej rodziny, którego tu mamy dowody najmocniejsze. W Coppet pieniędzmi, pasportami, wszelkimi środkami starano się wyzwolić króla i królową; rozbiło się to o opór Maryi-Antoniny. Pani Staël była równie czynną, jak jej ojciec.

Jakkolwiek Necker w dziele p. d'Haussonville sztywnie i zimno występuje i więcej widzimy ministra finansistę, człowieka publicznego niż męża i ojca, trzeba przyznać, że pod tą powłoką lodową było jednak serce i — że umiał ocenić niepospolitą istotę, która była towarzyszką wierną życia jego. „W ostatnich dniach, mówiła o nim córka, widywałam go stojącego godzinami całami nieruchomym, niezmiennym miejscem, nieśmiałym usiąść, z obawy, aby chorej nie obudził“.

Na łożu śmierci, umierająca już, modliła się tylko do Boga, aby jej dopomógł znieść cierpliwie rozłączenie się z mężem. „Boję się śmierci, mówiła do niego, dlatego tylko, że życie z tobą miłowałam“. Śmierć zabrała ją po długich cierpieniach d. 6 Maja 1794.

Pod rysunkiem zrobionym z rozkazu Neckera, w kilka godzin po zgonie, stoją wyrazy:

„Not lost, but gone before“.

Zwłoki spoczywają w Coppet, w kaplicy umyślnie na ten cel zbudowanej, obok Neckera i pani Staël.

Nie mówiąc już o tem, co biografia, nieco może wypisami z listów, często rozwlekłych i nudnych, przeciążona, przynosi do charakterystyki pani Necker, jej męża i towarzystwa, które ich otaczało—nam ona się zdaje bardzo zajmującą jako przyczynek do życia i wizerunku charakteru pani Staël.

Nie można ocenić sprawiedliwie tego zjawiska, dosyć znaczącego i wybitnego w swoim czasie, nie znając ojca i matki. Odbija się w córce część charakteru, część temperamentu obojga, spadek po rodzicach i z niego stworzona fiziognomia moralna nowa, przedstawiają się badaczowi jako zadanie psychologiczno-fizjologiczne interessujące. Logika i rozumowanie ojca, patos i uczucie matki w równym prawie stopniu odnajdują się w córce. Niektóre rysy p. Staël tłumaczą się młodością matki, w niej już powtarzającą się z inną barwą i siłą. Działanie czasu i otoczenia jest też na p. Staël widocznem.

Coppet, którego archiwa zachowały tak obfity materiał nienaruszonym, w życiu matki zarówno i córki, dosyć smutnie wygląda. Dla obu kobiet było to wygnanie, zatrute wspomnieniami Paryża, którego ryszotki wołała pani Staël nad cieniste aleje tego cichego kąta, bo w nim takiego życia, jakiego ona dla siebie potrzebowała, nie było. Necker, nabył zameczek ten w r. 1784. Jestto budowa różnemi czasy sklecona, bez wielkiego charakteru, złożona z trzech skrzydeł, obejmujących dziedziniec, krętą oddzielony od drogi, z dwiema ciężkimi wieżami. Z pierwszego piętra widok na góry i na Genewę jest bardzo piękny. Ogród, z dwiema długimi równoległymi ulicami, resztkami starej jego fiziognomii, zamknięty zielonością dokoła, cieniasty jest, smutny, bo oko z niego swobodnie na piękną okolicę wybiedz nie może.

W cieniu tych prastarych drzew, które pani Staël nazywała „świadkami losów swoich“, stoi grobowa kaplica Neckerów, a w jednej z wież mieści się archiwum, z którego p. d'Haussonville małą tylko część mógł wyczerpać. Zawiera ono dla biografii Neckera zajmujące pamiętki.

Dzienniki głoszą, że Zola napisał powieść nową, której bohaterka jest ideałem cnoty, chociaż narażona położeniem swem, w magazynie nowości, na nieustanne napaści i pokusy. Widocznie pozazdrościł autor „Pot-Bouille“ Halévemu, którego „Ks. Konstantym“ zyskał rozgłos tak wielki, a tak zasłużony. W nowej powieści Zoli studjum nad wielkim magazynem mód, opisanym z nadzwyczajną ścisłością i talentem, ma być arcydziełem. Wszystko to piszemy na wiarę sprawozdawców od nas szczęśliwszych, których już doszła powieść, drukowana w „Gil-Blasie“, ale dotąd nieodbita osobno. Czy „Au bonheur des Dames“ zdobędzie sobie taką liczbę czytelników jak „Pot-Bouille“, którego rozeszło się w krótkim czasie przeszło pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy—okaże się to rychło.

Ulubiona autorka, pisząca pod pseudonimem Gréville, wydała nową powieść *Rose Rosier*, nie ustępującą tym, które jej już zjednały sławę we Francji i za granicą. Bohaterką jest—fantastyczna, z przewróconą głową aktorka, podobna może do wielu typów tego rodzaju, już w literaturze nie nowych i zużytych—ale odżywna wziętymi niezawodnie z natury rysami. Nie jest to właściwie typ, ale indywidualium pochwycone z fotograficzną prawdą. Cały żywot biednej, zwichniętej istoty rozwija się z logiką nieubłaganą temperamentu, aż do rozwiązania powieści, w którym czuć rękę autorki, zmuszonej zakończyć ten dramat, trochę pospolitym sposobem, aby Numa mogła wyjść za Pompiliusza. W tej skrusze i nawróceniu końcowem, istoty popsutej i niepoprawnej tkwi według nas jedyny błąd tego nadzwyczaj szczęśliwie odmalowanego obrazka. Bardzo to ładnie się zamyka tem samobójstwem ofiarnem, ale czy taka „Rose Rosier“ byłaby do niego zdolną? To, czem się wszystkie powieści Gréville odznaczają, znajdujemy i tutaj. Postaci składające

grupę, aż do najpodrzedniejszej, są z wielkim staraniem i prawdą, bardzo plastycznie, narysowane. Talent postrzegawczy i dar wiernego a wdzięcznego malowania, ma je Gréville w wysokim stopniu. Wszystko, co pisze, a pisze wiele, czyta się z zajęciem. Treść opowiadań, z różnych sfer czerepana, jest urozmaiconą i nie grzeszy monotonią. Wziętość też autorki rośnie z każdym dniem i niektóre powieści szczycą się już na okładce kilkunastą wydaniami.

*Contre le Sort*, nosi tytuł ostatnia powieść A. hr. Wodzińskiego (Paris, Didier, in 8-o, 334 pp.). Już samo imię sympatycznego autora, który potrafił sobie od pierwszego wystąpienia, popartego przedmową Ignotusa, zdobyć uznanie między powieściopisarzami francuzkimi, pociąga ku książce, która zajmuje nas oprócz tego obrazkiem naszego kraju; rzecz się bowiem dzieje w Poznańskim, około Leszna, i wzięta jest z młodzieńczych wspomnień Wodzińskiego, który tu spędził pierwsze życia lata. Już niedawno w „Nouvelle Revue“ czytaliśmy nowellę jego, także na polskiej ziemi odegrujący się mały dramat ludowy, nie bez wdzięku narysowany.

*Przeciw losowi* jest pracą większych rozmiarów, w której znać, że z miejscowych żywołów i stosunków została stworzona. Bohaterem jest tu doktor Trawiński, zamieszkały w Lesznie. Powieść się rozpoczyna znaną historią powołania lekarza z oczyma zawiązanymi do łoża chorej pani, której dziecię nowonarodzone powierzone jest jego staraniom. Skromny, poczciwy, pełen gotowości do poświęceń, doktor przyjmuje córeczkę tę za swoją, przywozi ją do domu i wychowuje. Dramat zależy na tem, że biedny człowiek w tej, która uchodzi za córkę jego, sam się rozmiłowuje, walczy i poświęca się dla jej szczęścia, szukając śmierci w zaraźliwej chorobie. Dzieweczka, która jest przyznana za dziecię możnej książęcej rodziny (bardzo przypominającej znaną jedną w okolicy Leszna)—wychodzi za swego kuzyna i wszystko się kończy u grobu tej ofiary, którą jest zacny, szlachetny doktor Trawiński. Życie małego miasteczka, sceny wiejskie, charaktery osób współdziałających są bardzo starannie i z talentem oddane. Rodzina książąt Larnowskich, hrabia Borug, panna Basetko, stara Stachowa i Stasińek, natchniony skrzypek, dopełniają obrazu, który ma dla nas fiziognomią swojską, domową, chociaż czuć, że autor na ten świat patrzy oczyma do innego już nawykłemi.

Wprowadzenie żywołu polskiego do powieści, tak jak użycie obcych wspomnień przez p. Gréville, było szczęśliwym pomysłem. Francuzi, jakkolwiek dziś z nami wcale nie sympatyzują, potrzebują ciągle czegoś nowego, *n'en fut il pas au monde*, a nic nowszem dla nich być nie może nad nasz świat, który jest im całkiem nieznany. Już Cherbuliez bardzo zręcznie spożytkował polskie stosunki we Władysławie Bolskim i Bröhl. Inni współcześni francuzcy pisarze, jeśli kiedy pomyśleli o nas, to tylko, aby zrobić konwencyonalną karykaturę, na sposób Heinego. Byłoby pożądanem, aby pisarze, jak Wodziński, mający już pełną wziętość, czytany będąc we Francji, wzięli na siebie obzanie lepsze Francuzów z tem społeczeństwem, które oni znają tylko z potwarzy i komunalów. Tłómaczenia wszystkich pisarzy, bądźco bądź, jak wszelkie przekłady, nie mają rozgłosu i powodzenia. Francuzi nie smakują w nich, a nawet najznakomitszych angielskich romansopisarzów—dla siebie przyprawiać muszą. L. Ulbach mówi o tem seryo, jak się zasłużył M. Jokay'owi, adaptując do smaku czytelników jego powieści. Nie potrzebujemy mówić, że to adaptowanie zależy na odjęciu im właśnie ich oryginalności i charakteru.

Najpośledniejsza powieść francuzka, napisana według najpospolitszego szablonu, prędzej znajdzie łaskę w oczach czytelników nad Sekwaną niż arcydzieło obce. Żaden naród nie ma mniej skłonności do korzystania z owoców ducha obcego, niż Francuzi. Goethe jest dla nich prosto nudziarzem i ileżto czasu potrzebował Shakespeare, aby zyskać tam prawo obywatelstwa! Dla nich potrzeba Heinego albo Klaczki, którzyby wyrzekli się własnej indywidualności, a poddali się formie i

schematowi francuzkiemu. Pod tym tylko warunkiem nadaje się tu prawo obywatelstwa.

Na powieści Wodzińskiego stoi zastrzeżenie wszelkich praw, a zatem i tłómaczenia: nie możemy więc polecić jej do przekładu.

Alfons Daudet milczy. Ernest za to drukuje w piśmie pani Adam romans „Les pervertis“, który wkrótce się zapewne ukaże w osobnym wydaniu. Dwaj bracia nie mają w charakterze swych talentów najmniejszego podobieństwa, a znaczeniem oryginalnością, wdziękiem, tem czemś nieokreślonym, co daje dar Boży. Alfons przechodzi tak nieskończenie Ernesta, iż ich nawet przy sobie postawić nie podobna. Ernest bardzo przyzwoite zapewne miejsce zajmuje pomiędzy Ulbachami, Claretie, Belotami i *di minorum gentium*, ale nie przechodzi mierności i nie bije w nim to tętno życia, którego się ani naśladuje, ani nabywa, a które tak silnie cechuje najmniejsze roboty Alfonsa, dziś pierwszorzędnym zajmującego stanowisko; nie ma nawet humoru, dowcipu i wdzięku Halévogo. „Les pervertis“ zresztą obracają się w tych sferach, w których tyliśmy już razy bywali, że nam w nich trochę nudno, gdy ich jakiś rys genialny nie odzłoci.

## KLEFFT

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE

przez

Abrahama Dreyfuss

przekład z francuzkiego M. Kostrowickiej.

(Dalszy ciąg).

Scena VIII.

Henryk i Amelia

Henryk (*wchodząc*)

Cóż to! Klary niema!

Amelia

Chciałeś z nią mówić?...

Henryk

Tak jest, z polecenia Filipa....

Amelia (*żywo*)

Opowiedział ci wszystko?

Henryk

Spodziewam się! Oplakane małżeństwo, bezustanne sceny o byle drobnostkę; omal nie biorą się za włosy... Tak być dłużej nie może; Filip to sam przyznaje.

Amelia

Chce się więc pogodzić?

Henryk

Konieczniesz! I dlatego upoważnił mnie do powiedzenia jego żonie, iż prosi ją, aby od dzisiejszego dnia nie mówiła wcale do niego.

Amelia

Co?

Henryk

Jeżeli będzie potrzebowała porozumieć się z nim w sprawach domowych, niechaj to uczyni za pomocą jakiegoś pośrednictwa.

**Amelia**

I to się według niego nazywa pogodzeniem! A ja tak liczyłam na twój wpływ....

**Henryk**

Zapewne!... gdybym był nie wiem jak wpływowym, czy mogę pogodzić morze Czarne z Oceanem Atlantyckim?...

**Amelia**

Czyż rozdział pomiędzy nimi doszedł do tego stopnia?

**Henryk**

Przepaść, istna przepaść ich rozdziela. Powiedziałem to Filipowi: przepaść, która ciągle zwiększać się będzie. To określenie ich stosunku wielkie na nim sprawiło wrażenie.

**Amelia**

Już to rzecz pewna, że w małżeństwie trzeba, aby się ludzie dobrali....

**Henryk**

Jak my! Tosamo mówiłem Filipowi: — Patrz na nas.

**Amelia (z uczuciem)**

To ich nie odmieni! — My szczęśliwsi od nich jesteśmy.... To jedyny pewnik, jaki z ich nieszczęścia wyciągnąć możemy.

**Henryk**

To mnie też tylko pociesza! Inaczej, cierpiałbym zbyt wiele nad smutnem położeniem tych biednych kuzynów....

**Amelia**

Dobry mój Henryk! (*zmieniając ton — z ciekawością*) Więc Filip wszystko ci opowiedział?

**Henryk**

Wszystko! O swem zapamiętałem upodobaniu głośnego czytania, przygodę z „Kleftem“, noc we łzach spędzoną, sprzeczkę przy śniadaniu i historią z kramarzem.

**Amelia**

Historią z kramarzem?.... Nic o niej nie wiem.

**Henryk (śmiejąc się)**

Ach! ogromnie zabawna!... Pewnego dnia przychodzi kramarz.... Ale to długa rzecz, opowiem ci ją później.

**Amelia**

Dlaczego nie teraz?

**Henryk**

Bo teraz nie mam czasu, duszko.... To historia bez końca.... Filip zaczął mi ją opowiadać, gdyśmy wychodzili z domu; powróciliśmy, obszedłszy park trzy razy, i jeszcze nie wiem wszystkiego!

**Amelia**

Możesz mi ją przecież streścić w dwóch słowach.

**Henryk**

Właśnie, że nie! W dwóch słowach pozbawiłbym ją całego pieprzyku.... Bo to nie sama rzecz jest zabawną, ale szczegóły.

**Amelia**

Och.... szczegóły — drażliwej natury.

**Henryk**

Ależ szczegóły nie mają w sobie nic drażliwego!

**Amelia**

Jednakże chciałeś mi najpierw opowiedzieć całą historią, a później rozmyśliłeś się, — że zbyt niewłaściwa....

**Henryk**

Przysięgam ci, że wcale nie dlatego!

**Amelia**

Och! nie wypieraj się!

**Henryk**

Sprawa to raczej niedorzeczna.... tak.... jeżeli chcesz wiedzieć. W gruncie uważam ją za zupełnie głupią.

**Amelia**

Więc dlaczegoż nie chcesz mi jej opowiedzieć?

**Henryk**

Bo potrzebowałbym co najmniej godziny czasu.

**Amelia**

Przez ten czas, odkąd się targujesz ze mną, już byłbyś mi opowiedział dziesięć razy.

**Henryk**

Ależ, najdroższa, zapewniam cię na wszystko, co mam najświętszego....

**Amelia**

Możesz sobie przysięgać na wszystko, co chcesz, ale ja rozumiem doskonale, że tu idzie o jakąś historią skandaliczną.

**Henryk**

I zapewne dlatego chcesz ją wiedzieć?

**Amelia**

Ach! Henryku.... bardzo cię proszę, nie mów mi rzeczy ubliżających.

**Henryk**

Wcale nie! wreszcie....

**Amelia**

Ja mówię do ciebie grzecznie, mógłbyś mi odpowiadać w tensam sposób.

**Henryk**

Sądzę, że tak czynię, tylko....

**Amelia (unósując się)**

Jeżeli masz ochotę postępować ze mną, jak postępuje twój przyjaciel Filip z Klarą, to uprzedzam cię, że ja tego nie zniosę.

**Henryk**

Nie zajmuj się Filipem.

**Amelia**

Ach przepraszam! właśnie będę się zajmować.... mam do tego powód! Zauważyłam doskonale, gdy jesteś z Filipem, zaraz przybierasz jakiś dziwny ton, zupełnie odmienny od twego zwykłego postępowania.

**Henryk (dobrodusznie)**

A więc nie masz się czego obawiać....

**Amelia**

Właśnie też mogę się wszystkiego obawiać.

**Henryk**

Ależ, kochanko....

**Amelia**

Zapewniam cię: z mej strony był to dowód wielkiego zaparcia się siebie, jeżeli się zgodziłam na spędzenie tutaj dwudziestu czterech godzin.

**Henryk**

Przecież mnie sama namawiałaś!

**Amelia**

Aby ci sprawić przyjemność.

**Henryk**

No, to dopiero przebiegła!

**Amelia**

Widziałam, że miałeś szaloną ochotę uściskać twego kochanego Filipa.

**Henryk**

Ja? Wcale nie!... Kocham Filipa.... dobry sobie chłopiec.... ale żeby go miał aż ubóstwiać....

**Amelia**

Więc dlaczegoż mu wyswatałeś swoją kuzynkę?

**Henryk**

Bo sądziłem, że ich oboje uszczęśliwię.

**Amelia (drwiąc)**

Ślicznie ci się udało!

**Henryk (dotknięty)**

Nie moja wina, jeżeli źle z sobą żyją, bo w tem małżeństwie były wszystkie warunki szczęścia.... miłość, młodość, majątek....

**Amelia**

Och! majątek!... Filip nie ma złamanego szeląga!

**Henryk**

Nie ma złamanego szeląga!.... A ten zamek?

**Amelia**

Niewiele wart.

**Henryk**

Zamek i dobra Larians nie wiele warte?

Amelia (naśladując go, mówi zgrubiałym głosem)

„Zamek i dobra“.... Czy nie mógłby kto pomyśleć, że tu mowa conajmniej o całym królestwie?

Henryk

Tego nie mówię, ale rzecz powszechnie wiadoma.

Amelia

Powiedz lepiej prawdę, że w tych dobrach najlepiej ci się nazwisko podoba.

Henryk

Nazwisko?

Amelia

Rad jesteś, że twoja kuzynka nazywa się panią de Larians.

Henryk

Cóż znowu!

Amelia

I dla tej pustej sławy poświęciłeś szczęście własnej krewnej....

Henryk (oburzony)

Tego już nadto!

Amelia

Zamiast ją wydać za prostego mieszczanina, jakim sam jesteś.

Henryk

Powiedz lepiej odrazu, że się wstydzę mojej rodziny.

Amelia

Nie wiem, czy się wstydzisz..., ale wiem, że ci twoje nazwisko ciąży!

Henryk (z gniewem)

Moje nazwisko mi ciąży? Nazwisko Graberneau mi ciąży?

Amelia

Cokolwiek, tak, ciąży ci....

Henryk (z najwyższym umiesieniem)

Jak ty możesz!.... Ależ ja jestem dumnym, słyszysz, dumnym jestem z mego nazwiska Graberneau.... Byłbym w rozpaczy mając inne.

Amelia

Tymczasem chciałeś się podpisywać Graberneau de la Haute-Saône.

Henryk (żywo)

Fałsz.

Amelia (głośno)

Graberneau de la Haute-Saône.

Henryk (krzycząc)

Fałsz!.... Mówię ci: to fałsz!....

(Dokończenie nastąpi)

## NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Lipcu 1882 r.

Obchód doroczny 14 Lipca. — Muncypalność w kłopotach. — Wybuch gazu i liczne ofiary. — Popularność i jej nietrwałość. — P. Grévy i stronnictwa skrajne. — Nowa książka pana Olliviera: „Czy papież jest wolnym w Rzymie? — Legenda o kościółku: „Domine, quo vadis?“ — Ks. Lubomirski i jego „Jeruzalem“. — Dlaczego Józef zrodził niedowiarka? — Nicolardot i jego zwierzenia o Sainte-Beuve'ie. — Literatura kominarska. — Oszczerstwo literackie i polityczne we Francji, i jego eksploatacja dzisiejsza. Ebersa „Egipt“, tłumaczenie p. Maspéro — Jak się sprzedają dobre książki? — „Myśli“ Królowej Rumuńskiej i broszura Króla Bawarskiego. — Fr. Coppée'go: „Contes en prose“ i nowe wydanie wszystkich pism Alf. Daudet'a

(Dokończenie).

Na szczęście, są to wyjątki. Nie brak i dobrych książek. Trzeba uczyć się od ludzi tutejszych, tej pilności, z jaką chwytają każdą sposobność, do zapewnienia odbytu książce, — mówię tu bardziej o wydawcach, niżeli o pisarzach. Wiecie już, a zdaje mi się, że szanowny Kraszewski, zdał wam sprawę w swoim czasie o *Egipcie* Ebersa. Dzieło to, napisane porządnie i sumiennie, ma tę wielką zaletę, że autor umiał zużytkować wszystkie nowe archeologiczne nabytki, odnoszące się do Egiptu niegdyś — nie zapominając o tem, jakim jest Egipt dzisiaj; wyszło ztąd dzieło klasyczne prawie. P. Maspéro, professor egiptologii w Kollegium Francuzkiem, przytem inspektor Muzeum w Bulaku i szkoły francuzkiej w Egipcie, na miejsce zmarłego Mariette'a, pan Maspéro przetłumaczył dzieło Ebersa, a księgarnia Firmin-Didota i Spółki z łatwością przyjęła na siebie ozdobne i kosztowne wydawnictwo — w dzisiejszej zawierusze wschodniej mogące stać się wyborym pieniężnym interessem. Każdy tom, ozdobiony pięknymi rycinami, sprzedaje się za cenę 50, 60 i 100 franków, stosownie do papieru i oprawy. Jeżeli więc Ebers w Niemczech nie ma dośyć odbytu — może być pewnym, że tutaj, dzięki temu, co się dziś dzieje w Egipcie, kilka się edycji wyczerpie.

Oto jest tomik, bardzo wdzięczny, w dwóch, świeżych, jak wiosna, okładkach. Tytuł dobrze wybrany ma swoje znaczenie, dla ciekawej publiczności, bo bije sprzecznością w oczy. *Les pensées d'une reine*. Królowa Rumuńska z domu księżniczka von Wied, jest to literatka ukoronowana. a może więcej poetka niż literatka, bo są jej tłumaczenia i przerabiania ludowych pieśni mołdawskich i wołoskich. Ten tomik, wydany nakładem J. K. M. u Kalmanna Levy'ego — ozdobiony portretem i obciążony przedmową Ulbacha, to ptaszek, który jakby zawczasem zerwał się z gniazda i nie może wlecieć z księgarskiej półki. Ależ bo irodzaj utworu trudny i niepojętny wcale! Jeśli to nie może stanąć na równi z *Myślami* Paskala, z *Maxykami* Rochefoucaulta, to zaraz spada do pensyonarskiego sexternu, w którym młode podlotki zapisują swoje głębokie wrażenia serca. I gruby Ulbach wlaź tu, jak Piłat w *Credo*; jego przedmowa, zalecając i polecając książkę, nic, a nic nie dodaje do jej prawdziwej wartości. Ulbach ten wodnisty i rozwlekły powieściopisarz, którego panteon składa się z klientów policji poprawczej — dlatego jedynie napisał tę przedmowę, że mu to wynagrodzono wstążeczką albo i brzęczącą monetą.

Jest i siostrzyczka tej książki; wyszła u Dentu: *Mission actuelle des ouvriers* (Dzisiejsze posłannictwo klasy wyrobniczej). Nie wiem, czy pamiętacie, ale zdałem tu dawniej sprawę z broszury politycznej, której ukazanie się na świat narobiło nieco hałasu. Była to książeczka mająca za tytuł: *Le Mission actuelle des souverains* (Dzisiejsze posłannictwo panujących). Zgadywano, domysłano się, kto mógł być autorem tej broszury, napisanej nie bez pewnego talentu i z wielką znajomością pewnych, specjalnych kwestyj. Zagadka dziś jest rozwiązana. Wiadomo dowodnie, że autorem pierwszej i drugiej broszury jest J. K.

Mość Ludwik II Bawarski. Powiedzmy zaraz, że nowa broszura o klasie wyrobniczej, nie ma, ani tego znaczenia, ani tej doniosłości, jaką miała pierwsza, tycząca się kwestyi rządowej, a bardziej może, dynastycznej. Wyobrażenia króla Ludwika o klasie wyrobniczej są, właściwie mówiąc, streśczeniem tego, co pisali w tym przedmiocie najznakomitsi ekonomiści i statysci najnowszych czasów. Dezyderata tej klasy, wytaczane ustawicznie przed sąd publiczności, w najrozmaitszej formie, i roztrząsane przeszło od pół wieku, znane są i utarte dzisiaj. Ale w tem, niesłychanie pokrzyżowanym zadaniu — bo tu się stosuje doskonale to wyrażenie: że co kraj, to obyczaj — trudno jest niezmiernie sprowadzić tak różnorodne liczniki do jednego mianownika i znaleźć gruntowną i stosowną odpowiedź na wszystko. To więc, co było dane do rozwiązania lat temu 50, i dziś jeszcze zostaje w pierwotnym stanie — zagadnienie stoi całe i nie naruszone.

Autor broszury, o którą tu idzie, zna dosyć dobrze stanowisko klasy rzemieślniczej w Niemczech, południowych szczególnie, i jej stosunek do rządu, prawodawstwa i społeczeństwa; ale widocznie, nie rozumie dokładnie tego, co się dzieje w tym względzie w Anglii, Ameryce, a szczególnie we Francji. Tu gdzie element, w którym ta klasa żyje i rozwija się wyłącznie, to jest wielkie miasta, a na ich czele Paryż, stanowi grunt tak niepewny, tak czuły na wszelkie zewnętrzne wrażenia, główny punkt żądań tej klasy zmienia się prawie co chwila, uchyla się zpod wszelkiej ścisłej analizy. Punkt ten, po każdym ustępstwie, jakie społeczność czyni tej klasie przez swe legalne organa administracyjne, usuwa się natychmiast dalej i dalej, tak, że ta kwestya we Francji, powtarza najdoskonalej zjawisko natury znane pod nazwą „Fata-Morgana!“ Broszura ta więc, podług mnie, nietylko nie daje żadnego praktycznego środka rozwiązania kwestyi, ale nawet nie przedstawia dokładnego i jasnego oznaczenia stanowiska, jakie ona zajmuje dziś w nożycy społecznej.

Wyrwijąc się zpośród tych zawilich i drażliwych kwestyj, chciałbym tu powiedzieć słówko jeszcze o dwóch czysto literackich faktach. Należą one do mojej kronikarskiej dziedziny, a choć może nie mają pierwszorzędnej ważności, kronikarz musi je na swych tabliczkach zapisać, a zapisane do wiadomości publicznej podać. Gdyby ztąd nie przyszło nawet nic innego, prócz bibliograficznej wiadomości, to w liczbie tyłu czytelników, którym *Bluszczy* wpadnie do ręki, kto zdoła odgadnąć, na co posłużyć może nawet prosta bibliograficzna wiadomość?

W poprzednim liście, mówiąc o Wystawie Sztuk Pięknych w Paryżu, staraliśmy się zwrócić uwagę czytelników naszych, na ten stan jakby niepewności, który tamuje dzisiaj prawdziwy artystyczny postęp we Francji. Przypisaliśmy to zupełnemu brakowi ideału; brak ten dostrzegać się daje, w twórczości nawet artystów obdarzonych prawdziwym talentem. Tożsamo zastosować można i do poezji. Oprócz Wiktora Hugo, który przedstawia raczej umarłą dziś przeszłość, Francya nie ma poety, którego by postawić mogła obok ostatniego zmarłego barda, Alfreda de Musset. Przepraszam! jest właśnie brat po lutni tego ostatniego i o nim właśnie chcę tu powiedzieć słów kilka, i to jeszcze nie jako o poecie, w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale jako o pisarzu powieści.

Znane jest dobrze imię jego we Francji. Jest to Franciszek Coppée. Ślicznych rzeczy, tkliwych piosenek — napisał on już bez liku. Najwybredniejsi ze znawców języka, poszukują jego poezyj, gdzie czystość języka łączy się zawsze z prostotą i jasnością wyrażenia, przy doskonałości wiersza. Co w nim uderza szczególnie, to, jak u naszego Lenartowicza, poszukiwanie żywych, ludowych wyrażań, tak zawsze prawdziwych i silnych, i to, jakby ciągle podsłuchiwanie tych dalekich szeptów ludowej pieśni i poezji.

Kiedyniekiedy spotykaliśmy rozrzucone w różnych pismach peryodycznych — jak polne, świeżo zerwane kwiaty, rzucone odniechcenia tu i ówdzie, niezmiernego wdzięku powiastki i nowelle. Wszystkie zalety i przynioły poety odbiły się w tych obrazkach, niesłychanej świeżości i

wdzięku. Wszędzie bo spotykamy się z naturą, którą Coppée tak namiętnie kocha. Wszędzie jest wielka prostota układu i prowadzenia rzeczy, tak, iż zdaje się, że poeta wcale o układzie nie myślał, i w tem jest ogromny artyzm pisarza. Zawsze tu smętna, trochę struna uczucia, podzwania na spokój, a słodka i łagodna ironia rozjaśnia czoło i przywołuje uśmiech na usta. Czasem, w niektórych powiastkach, i żart i głośny śmiech się odezwie—i to jeszcze w sposób jakby podsłuchany, na wsi, wśród pocziwego rozweselenia się maluczkich. Tomik ten wyszedł u Lemerre'a z wykwiutnością i typograficznym smakiem, którym ten wydawca trochę nawet przesadza. Nosi ta książeczka tytuł *Contes en prose*. Czytajcie to, proszę was: zobaczycie, że stary kronikarz mówił prawdę, że wam zdrowe i dobre ziarno polecił; będzie to odwet za wiele a wiele tomów nędzoty i jakby przypomnienie, że człowiek żyje jeszcze!

Na tem mógłbym skończyć, ale zostaje mi jeszcze zaległość, i z tej chcę się do reszty oczyścić. U Charpantier'a i Dentu wychodzi na świat edycya wszystkich dotąd ogłoszonych pism Alfonsa Daudeta. Znaicie pisarza; jest on nawet jednym z bardzo lubianych u nas i przez czytelników i przez wydawców—o jego więc talencie i piśmiach, niema potrzeby rozprawić. O każdej z dawniejszych powieści, skoro ta się ukazała, zdałem wam sprawę w swym czasie. Nie o tem więc mowa; ale ta nowa edycya ma też i coś nowego w sobie. Daudet, idąc za przykładem starszych pisarzy, a między nimi za świeżym przykładem Alexandra Dumasa i za modą pisarską, która tego wymaga, każdą z dawnych swoich powieści poprzędził przedmową.

Z wielką prostotą i z talentem opowiadania, który mu jest właściwy, Daudet w tych przedmowach, a przynajmniej w tej, którą mi wydawca raczył zakomunikować—opowiada, przyjsie na świat danego utworu w tej formie, która przypomina najlepszą z jego powieści, *Le Petit Chose*. Daudet obejmuje cały światek powieści, mówi kiedy i gdzie się co stało: mieszkanie na wsi, sąsiedztwo z chłopkiem, który poswojemu jest to lis szczwany, i te okoliczności życia, w których jemu i czytelnikom tak dobrze i ciepło. Trzeba więc to zaznaczyć, bo piękne rzeczy,—to specyał!

## WYPRAWA DO TONKINU

przez

Dubarda

przekład z francuzkiego.

(Dokończenie, ob. Nr 31).

Są to chwile zdające się trwać wieki, chwile, w przeciągu których odrazu zestarzeć się można.

Woddali słyhać było strzelanie. Upłynęło pół godziny—wieczność cała! Następnie ukazali się rozproszeni żołnierze, pędzący szybko z powrotem, pojedynczo lub gromadkami po dwóch i trzech; za nimi widać było armatkę, ciągnioną przez porucznika okrętowego i kanoniera. Skoro tylko dobiegli na odległość głosu, zaczęto ich wypytywać: co się stało?

Lecz na twarzach ich malowało się wielkie wzburzenie i nie dawali żadnych odpowiedzi.

Wreszcie podofficer zawołał: Kapitan już nie powróci!... i nie zatrzymując się ani chwili, okrążył fossy, by się dostać do którejkolwiek z bram cytadelli.

„Kapitan nie powróci“: więc go zabito—a może tylko wzięto w niewolę. Jakkolwiek bądź, żywy czy umarły, musi być odszukany i przyniesiony, aby nie powiedziano, iż Francuz pozostał w rękach tych dzikich barbarzyńców!

Niestety! daremne poświęcenie! Zresztą odrazu trudno uwierzyć złowrogiej wieści i my ludziliśmy się jeszcze, że może przesłyszeliśmy się tylko, patrzeliśmy na siebie w milczeniu, ze łzami w oczach, ze ściśniętymi sercami—może to pomyłka jeszcze. Aż oto zbliża się nowa gromada ludzi, lecz liczniejsza i bardziej zbita od innych. Są to żołnierze z piechoty marynarki, prowadzeni przez podofficera; zdają się dźwigać ciężar jakiś. Niema już wątpliwości: przez lunety połowe rozpoznaliśmy zbroczone ciała poległych. Nieopisana wściekłość ogarnęła wszystkich; każdy dyszy zemstą i odgraża się strasznym odwetem, nie myśląc, iż jest może jednym przeciwko stu.

Przez ten czas żałobny orszak wszedł do wnętrza cytadelli; na kamiennych płytach złożono dwa skrwawione trupy, odkryte ranami od pchnięć włóczni, bez głów, jeden z odciętą ręką; można ich jednak było rozpoznać po ubraniu, które poszarpane i podarte pozostało na nich.

Po przejściu pierwszej chwili żalu i osłupienia oknięto się, by pomyśleć o reszcie towarzyszy; nie było jeszcze załogi kanonierki. Co czynić? Iść naprzeciwko nich, oswobodzić lub razem zginąć. Wszystko natychmiast przygotowano; bohaterski oddział miał już wyruszyć, gdy nadbiegli nasi majtkowie. Taksamo jak pierwsi powracający, mieli i oni smutne miny i również smutne przyniesili wieści; na placu boju pozostawili trzy ofiary. Wśród ryżowego ładu został śmiertelnie ugodzony, ukochany nasz towarzysz i przyjaciel, porucznik okrętu Balny, a obok niego kwatermistrz marynarki Sorre i strzelec Bonifacy. Ciało ich nie podobna było zabrać—o urządzeniu zaś w tym celu wycieczki nie było co nawet myśleć, bo chcieć je wyrwać z rąk tych szatanów, którzy je schwyтали, byłoby to bezpożyteczne narażanie, zbyt wówczas cennych dla nas istnień ludzkich.

Od chwili, gdy nam tłómacze donieśli o pierwszych krokach zaczepnych ze strony oblegających, zaledwo cztery godziny upłynęły—była druga po południu—słońce świeciło jasno na czystym, bez chmurki lazurze nieba; wszystko w naturze zdawało się uśmiechać, tylko pomiędzy nami zapanowała niespodziewana straszna żałoba, pograżając nas w smutku i pomieszaniu. Z niepokojem zadawano sobie pytanie: czy nieprzyjaciel uzuchwalony tem łatwym powodzeniem, nie powtórzy znów szturm? Położenie nasze stało się nader niebezpiecznym.

Dzień ten kosztował nas pięciu poległych i sześciu rannych, co stanowiło razem ubytek jednemu walczących; uszczerbek olbrzymi na załogę liczącą wszystkiego czterdziestu pięciu ludzi. Moralnie trzymaliśmy się jeszcze dobrze, lecz ufność w powagę naszą mocno się zachwiała, cudy dni pierwszych nie dałyby się już powtórzyć.

Corychlej też zabarykadowaliśmy się we wnętrzu cytadelli, nie marząc już więcej o wycieczce poza jej mury, z zamiarem ograniczenia się tylko do odpierania napaści, aż do chwili mających nadciągnąć, oddawna zapowiedzianych posiłków.

Reszta dnia upłynęła na przygotowaniach do obrony, a gdy noc zapadła, niezupełnie pewni, czy się zbudzimy nazajutrz z głowami na karkach, odzyskaliśmy jednakże nieco spokoju; każdy

nadrabiał miną. Cokolwiek będzie, postanowiliśmy drogo sprzedać życie nasze.

Noc, chociaż przerywana kiikakrotnie fałszywym popłochem, przeszła szczęśliwie; strażę rozstawioną na wałach miały rozkaz czuwania z nadzwyczajną pilnością i za dostrzeżeniem najmniejszego pozorów niebezpieczeństwa—alarmowania załogi. Ilekroć w trzcinach fos dał się słyszeć jakiś szelest, posłuszni nasi strażnicy przesyłali natychmiast kule w kierunku podejrzanych—ku wielkiemu zdumieniu zab, które owej nocy przeklinały zapewne losy swoje, iż dały im się urodzić na gruncie twierdzy.

Od owego niefortunnego dnia wyprawa do Tonkinu weszła w nową i ostatnią fazę: w fazę układów.

W czterdzieści ośm godzin po zabiciu naszych bohaterskich towarzyszy nadciągnęły obiecane posiłki.

Z ich pomocą można było wymierzyć nieprzyjacielowi potężną karę, zmusić do uległości księcia Hong, a nawet może ująć go w niewolę. Lecz tej pociechy nie mogli doznać waleczni towarzysze kapitana Garnier i porucznika Balny; interessa Francyi sprzeciwiały się dalszemu prowadzeniu tej awanturniczej wojny. Rozkazy wyższej władzy wkrótce przybyły do Hanoi; polecono w nich natychmiastowe zawieszenie kroków nieprzyjacielskich i wydanie wszystkich zdobytych twierdz w ręce ambasadorów annamickich, świeżo przybyłych wraz z pełnomocnikiem francuzkim.

Bawiła nas trochę ta nagła zmiana polityki. Przez chwilę zdawało nam się, że to chyba senne złudzenie; ale rozkazy brzmiały wyraźnie, trzeba się było poddać.

W dniu, w którym oddawaliśmy ostatnią twierdzę, ostatni kamień z naszych wojennych zdobyczy, Francuzi zamieszkali w Hanoi czytali jedno z najdziwniejszych ogłoszeń, opatrzone pieczęcią jego cesarskiej mości Tu-Duka. Ogłoszenie to znakomite specymen przebiegłości i dwulicowości annamickiej, rozlepione po ulicach za staraniem ambasadorów, było tej treści:

„Dowiedzieliśmy się, że awanturnicy, mieniący się być *Francuzami*, napadli na prowincye nasze Tonkinu, opanowali cytadelle, siejąc śmierć i zniszczenie w kraju. Ale ci nędznicy otrzymali już karę za swe zbrodnie; sprawiedliwość niebieska użyła jako narzędzia na ich zgębienie ręki buntowników. Dla przeszkodzenia nadal podobnym napaściom, tę część naszego państwa oddajemy pod opiekę oręża naszej prawej przyjaciółki, wielkiej, potężnej Francyi“.

W ten sposób Tonkin dostał się pod protektorat francuzki; z tego punktu wyszła polityka francuzka w tej części annamickiego kraju, gdzie Francya zajmuje zwolna pewne stanowisko i gdzie w przyszłości niezadługo może nawet zapanuje stanowczo tak, jak w Dolnej Kochinchinie.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi nowelli pod tyt.: *Utalentowana matka*.

**TREŚĆ.** Dumka, (poezya), przez Konrada. — Kilka wspomnień o Szopenie z mojej młodości, (dalszy ciąg), przez Wielisława. — Bezwiedna miłość, nowella, (dalszy ciąg), przez Stan. Korczak. — Listy z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Kleft, komedia, (dalszy ciąg), przez Dreyfuss'a. — Nowiny paryzkie, (dokończenie). — Wyprawa do Tonkinu, (dokończenie).

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 4 Августа 1882 года.